

## Jan Kozłowski Od samorządu nauki do polityki naukowej

W środowisku naukowym panuje powszechne przekonanie o głębokim kryzysie, w jakim znalazła się nauka w Polsce. Poglądy na temat źródeł, przejawów, następstw oraz koniecznych skutków zaradczych tego kryzysu różnią się jednak biegunowo. Przeważa opinia, że jego głównym źródłem jest niedofinansowanie budżetowe badań. Autor artykułu polemizuje z tym poglądem. Stawia tezę, że głównym źródłem kryzysu są formy zarządzania nauką, niedostosowane do realiów Polski jako kraju ścigającego państwa rozwinięte gospodarczo.

**Niemal wszystko to**, co polscy uczeni napisali w ostatnich latach o problemach nauki przedstawiało ich własny punkt widzenia. Należy jednak pamiętać, że nauka jest celem samym dla siebie dla badaczy, lecz dla polityki państwowej i społeczeństwa jest ona tylko jedną z opcji, które należy brać pod uwagę. To, co leży w interesie środowiska naukowego nie zawsze i niekoniecznie leży w interesie społecznym.

W krajach zachodnich dochodzą do głosu dwa niemal krańcowo przeciwstawne podejścia w dyskusji na temat organizacji i finansowania badań naukowych – samych naukowców oraz analityków rządowych, ekonomistów i polityków. W centrum argumentacji naukowców leżą kwestie dobra samej nauki, potrzeb poszczególnych dyscyplin, swobody badań naukowych, autonomii instytucji naukowych. W centrum argumentacji analityków – kwestie wkładu nauki do dobrobytu kraju, innowacji technologicznych pobudzających wzrost gospodarczy i konkurencyjność gospodarki, synergii między nauką, techniką, gospodarką oraz społeczeństwem, a także podporządkowania badań celom zewnętrznym. Między tymi przeciwstawnymi sposobami myślenia rodzi się napięcie. Dyskusje i negocjacje wzbogacają oba podejścia i łagodzą ich skrajności. Dzięki temu powstają rozwiązania możliwe do zaakceptowania zarówno dla środowiska naukowego, jak i dla rządu. W Polsce (poza sporadycznymi wypowiedziami na temat finansowania badań Grzegorza Kołodki, Wiesława Kaczmarka, Leszka Balcerowicza i Tadeusza Syryjczyka, którzy – wbrew partyjnym różnicom – mówili w gruncie rzeczy to samo) opinie na temat nauki wygłaszają głównie sami uczeni. Drugi punkt widzenia nie jest formułowany. Brak partnera do dialogu powoduje, że dyskusja o nauce znajduje się od lat w punkcie wyjścia. Uczeni i politycy pozostają przy swoich racjach, gdyż żadna ze stron nie przedstawia swojego stanowiska w sposób, który mógłby stać się platformą dyskusji.

Spróbujmy opisać pewne milczące założenia, które leżą u podstaw stanowiska środowiska naukowego.

Nauka jest wartością samą w sobie, niezależnie od swojej struktury dyscyplinowej, wewnętrznych powiązań oraz bez względu na to, czy ma obecnie związek z innowacyj-

nością gospodarki i praktyką społeczną. Tylko uczeni – zwłaszcza stojący na szczycie hierarchii zawodowej – są kompetentni, aby decydować o kierunkach rozwoju nauki i podziale funduszy na badania. Inne strony (np. przedsiębiorcy i politycy) z powodu swojej niekompetencji nie powinni uczestniczyć w układaniu zasad oraz dokonywaniu podziału funduszy na badania. Jeśli tylko rządy pozostawią decyzje o nauce samym uczonym, nauka sama znajdzie sposób służenia społeczeństwu. Jakość badań powinna być głównym kryterium ich oceny. Kontrakt między środowiskiem naukowym, które zobowiązuje się do prowadzenia dobrej klasy badań, a rządem, który ma obowiązek ich finansowania, ma charakter stały i nie powinien być renegotjowany w zmienionych okolicznościach (Rip 1994).

Jednak już od końca lat sześćdziesiątych poglądy o nauce jako samoczynnym czynnikiem wzrostu gospodarczego i poprawy jakości życia, autonomii środowiska naukowego jako gwarancji optymalnego wykorzystania nakładów budżetowych na badania oraz państwie, zobowiązanym do bezwarunkowego popierania rozwoju nauki, zaczęły być coraz częściej kwestionowane. Poglądy uczonych oraz kół rządowych na funkcję i optymalny kształt organizacji nauki, do tego czasu zbliżone, zaczęły się od siebie oddalać. Obowiązujący dotąd kontrakt społeczny przestał obowiązywać i wszedł w fazę – ponawianych cyklicznie – renegotjacji. W efekcie tych wszystkich zmian powstał za granicą (podlegający stałym zmianom) nowy system nauki – z rządem jako ważnym uczestnikiem gry o podział funduszy oraz naciskiem na cele użyteczne, selekcję i konkurencyjność badań.

### Samorząd nauki w Polsce po 1989 r.

Podczas gdy w krajach zachodnich w latach dziewięćdziesiątych istotą zmian w systemie nauki było wprowadzenie profesjonalnej polityki naukowej (na szczeblu rządowym) oraz *quasi*-rynkowego systemu badań (na szczeblu realizacji), czyli ograniczenie autonomii nauki, zmiany podjęte w Polsce po 1989 r. polegały na wzmocnieniu autonomii przez podniesienie jej na szczebel rządowy.

Po 1998 r. środowisko naukowe doprowadziło do powołania Komitetu Badań Naukowych – urzędu centralnego będącego kombinacją tradycyjnego ministerstwa z władzą samorządową. Narodził się więc, trwający już od ośmiu lat, unikatowy eksperyment polityczny i społeczny. Eksperyment ten pokazuje, jak w kraju radykalnej transformacji działa odziedziczony po PRL (trzy piony – instytuty PAN, uniwersytety, jednostki badawczo-rozwojowe; struktura dyscyplinowa; zasady zarządzania placówkami) i tylko nieznacznie od tego czasu zreformowany system nauki w powiązaniu z odziedziczoną po PRL i niemal nie zreformowaną (w dziedzinie nauki) administracją państwową.

Nie można zrozumieć istoty KBN bez wiedzy o intencjach jego twórców. Zamiarem ich było oparcie zarządzania nauką na zasadach demokracji. Jako obywatele kraju autorytarnego, demokrację znali oni – z własnego uczestnictwa – przede wszystkim z działalności stowarzyszeń naukowych. Modelem demokracji było dla nich stowarzyszenie. Założycielem KBN demokracja kojarzyła się więc głównie z systemem reprezentacji, obieralnością, jawnością życia publicznego, a nie z systemem demokratycznej kontroli oraz zasadą racjonalnego, obiektywnego, profesjonalnego podejmowania decyzji, zgodnego z wolą mocodawcy, jakim jest – w ostatniej instancji – parlament, wybrany w wyborach powszech-

nych i reprezentujący społeczeństwo. Twórcy KBN brali zatem pod uwagę najbardziej widoczne i zewnętrzne elementy demokracji, a pomijali jej bardziej ukryte, ale istotne mechanizmy polityczne.

Autorzy ustawy o KBN idealizowali środowisko naukowe, widząc w nim ofiarę samowoli urzędniczej autorytarnego państwa. Zakładali oni, że uczeni – uwolnieni od dawnej presji – dzięki samorządowi wzniosą się na szczyt swoich możliwości zawodowych. Jednak świat nauki nie stanowił bynajmniej enklawy cnót, kompetencji i zasad „dobrej roboty”, tylko dzielił (dobre i złe) cechy reszty społeczeństwa. Autoidealizacja gasiła samokrytycyzm i utrudniała podejmowanie działań naprawczych.

Samorządność jest uzasadniona wtedy, gdy grupa, która decyduje o swoich sprawach, jest właścicielem majątku i funduszy, z których korzysta. Dotyczy to np. spółdzielni produkcyjnych i mieszkaniowych, kas zapomogowych, stowarzyszeń naukowych oraz zawodowych. Demokracja liberalna nie przewiduje jednak samorządu zawodowego na szczeblu rządowym. Podział funduszy rządowych na zasadach samorządności jest usprawiedliwiony wówczas, gdy organizacja samorządowa działa jako agent rządu (lub rządowej agencji) na ściśle określonych warunkach i pod stałą kontrolą swego patrona. Zasada ta nie dotyczy KBN, agenta, który jest swoim własnym patronem.

Samorządność z natury służy utrwaleniu *status quo*, gdyż daje równe prawa wszystkim uczestnikom zrzeszenia. Nie jest zatem właściwą zasadą władzy wówczas, gdy potrzeba zmian w obszarze zainteresowania samorządnej władzy. W historii nauki polskiej znany jest trwający w XVIII wieku przez dziesięciolecia opór samorządu akademickiego przeciwko reformom, złamany dopiero ogólnie przez Komisję Edukacji Narodowej (w Akademii Krakowskiej – reforma Hugona Kołłątaja, sprawującego zarząd komisaryczny).

Idea KBN została oparta na przekonaniu, że kwalifikacje zdobyte w działalności badawczej stanowią dostateczną legitymację do udziału w tworzeniu polityki naukowej. Jednak sposób sprawowania władzy przez członków Komitetu, komisji i sekcji jest daleki od merytokracji. Podejmując decyzje, członkowie komisji i sekcji KBN rzadko korzystają z analiz, statystyk i ekspertyz. Można to wyjaśnić następująco. Badacze to specjaliści, którzy wiedzą bardzo wiele, ale o stosunkowo wąskim obszarze zjawisk. Są oni najczęściej ignorantami w zagadnieniach leżących poza sferą ich zainteresowań. Zachowują świadomość własnej niewiedzy, gdy idzie o obszary problemowe kontrolowane przez innych uczonych. Przestrzegają wówczas zasad kompetencji i powstrzymują się od wyrażania własnych opinii na temat zagadnień leżących na cudzych polach badań. Zasada kompetencji służy demarkacji sił w środowisku naukowym i utrzymaniu (względniego) „pokoju społecznego” panującego wśród uczonych. Przestaje ona jednak obowiązywać, gdy dyskusja dotyczy zagadnień leżących poza podzielonymi terytoriami. Za taką „ziemię niczyją” polscy uczeni uznają – niesłusznie – znawstwo zagadnień polityki naukowej.

Przedsiębiorca kapitał zebrany w jednej branży inwestuje w innej, uczoneму jednak prestiż osiągnięty w jego własnej specjalności nie daje prawa do posłuchu w innej dziedzinie. Jak uczy doświadczenie, uczeni, którzy dzięki swym badaniom zaproponowali niezwykle oryginalne i złożone struktury tłumaczące np. zasady przebiegu pewnych chorób, funkcjonowania gospodarki łątfundalnej w XVII w. czy też ekosystemu lasów dorzecza Amazonii, nie rozumieją znacznie prostszych schematów funkcjonowania systemu nauki we współczesnym świecie zachodnim. Jest tak po prostu dlatego, że wzrosli oni w okresie, gdy ideał autonomii nauki uznawano w Polsce za naturalny, oczywisty

i sam przez się zrozumiąły. Klasa naukowa uczonego nie jest więc żadną gwarancją jego użyteczności jako doradcy ds. rządowej polityki naukowej. W pierwszej połowie XIX w. badania naukowe przekształciły się w zawód, a badacz-amator stał się zjawiskiem anachronicznym (choć nawet dziś w pewnych dziedzinach, np. w entomologii, wkład amatorów bywa bardzo duży). W drugiej połowie XX w. zjawisko profesjonalizacji objęło politykę naukową. Choć spotyka się uczonych, którzy znacznie głębiej rozumieją problemy polityki naukowej niż eksperci, decydującą rolę w przygotowaniu programów rządowych odgrywają (w krajach zachodnich) profesjonaliści.

Nieuchronną konsekwencją wprowadzenia samorządu w nauce było wzmocnienie wśród badaczy przekonania, że są oni jedynym i całkowitym źródłem autorytetu w sprawach zarządzania krajową nauką, niezawisłym od jakiegokolwiek autorytetu zewnętrznego. Miało to kolejne następstwa. Polityka naukowa jest dziś złożoną dziedziną wiedzy, wykładaną na wielu kursach i studiach. Jest ona przedmiotem badań i ekspertyz w dziesiątkach instytutów naukowych i firm doradczych oraz podstawą wielu zawodów (takich jak m.in. statystyk nauki, bibliometra, ewaluator czy specjalista ds. innowacji i transferu technologii). Badacz, ekspert czy urzędnik zajmujący się polityką naukową specjalistyczne umiejętności (jak np. formułowanie strategii politycznej, sporządzanie prognoz rozwoju technologicznego) zdobywa latami. Aby np. przeprowadzić tzw. *research and technology foresight* (przewidywanie rozwoju nauki i techniki), trzeba umieć sformułować jego cele, funkcje i zadania, określić przedmiot i zakres, metodę, techniki, horyzont czasowy, zasady ewaluacji, wskaźniki sukcesu itd. Zadania te często przerastają możliwości pojedynczego eksperta i wymagają skoordynowanego działania wielu wysoko wykwalifikowanych specjalistów. Wiedza o polityce naukowej jest dziś obszerna, gdyż praktyka – w krajach zachodnich – jest złożona i rozbudowana. Mając z góry zapewnioną władzę decydowania o sprawach nauki, polscy badacze nie mieli bodźca, aby uświadomić sobie potrzebę takiej specjalistycznej wiedzy. W efekcie decydowali oni często o sprawach, na których słabo się znali. Co więcej, korzystali ze swojej władzy, aby oddalić lub ograniczyć – pojawiające się co pewien czas – możliwości zewnętrznej, pozaśrodowiskowej oceny polskiej nauki (np. oceny propozycji grantowych przez naukowców zagranicznych, oceny funkcjonowania systemu grantów przez specjalistów od zarządzania czy diagnozy systemu zarządzania KBN dokonanej przez firmę doradczą).

• **Komitet Badań Naukowych został oparty na idei uczonych jako grupy zawodowej.**

Tymczasem badacze w Polsce nawet w 1989 r. nie tworzyli grupy zawodowej w takim sensie jak lekarze lub prawnicy. W koncepcji, która legła u podstaw ustawy o KBN, środowisko naukowe nosiło charakter jak gdyby substancji, czegoś trwałego, odrębnego, jednolitego. Ale w krajach zachodnich i coraz częściej także w Polsce badacze stają się grupą coraz silniej zróżnicowaną. Zacierają się role naukowca oraz menedżera nauki, eksperta, doradcy, konsultanta, popularyzatora. Zamazują się różnice między badaniami a innymi rodzajami działalności naukowej i technicznej (takimi jak informacja, kształcenie, szkolenia, doradztwo, pomiary, testowanie itd.) oraz między nauką a wiedzą w ogóle. Wzrasta przepływ personelu między nauką a przemysłem. Zatrudnienie w instytucjach naukowych nosi coraz częściej nie charakter stały, tylko okresowy (kontrakty). Różnicują się źródła finansowania badań naukowych. Zespoły badawcze istnieją krócej, a badacze szybciej zmieniają swoje zainteresowania. Hierarchia w nauce ulega spłaszczeniu, a produkcja wiedzy – rozproszeniu (jej źródłem są już nie tylko wybitni uczeni oraz wyróżnia-

jące się wydziały uniwersyteckie, ale także biura konstrukcyjne w przemyśle, spółdzielcze laboratoria przemysłowe, firmy doradcze, centra informacji, *think tanks* itd.). Rosną wiążą nauki finansowanej ze źródeł publicznych z gospodarką, administracją publiczną oraz organizacjami pozarządowymi.

W świetle wszystkich tych tendencji badacze tracą charakter jednolitej grupy zawodowej, jaką byli zarówno przed wojną (jako zatrudnieni, przede wszystkim, na wyższych uczelniach), jak i w PRL (jako przedstawiciele tzw. budżetówki, posiadający w świetle obowiązującego prawa zbliżony status, niezależnie od pionu, w jakim byli zatrudnieni). Nauka traci charakter jednolitej, odrębnej dziedziny działalności poznawczej. Ulega erozji idealistyczna wiara w istnienie szczególnej misji uczonych (zrodzona w czasach, gdy nauka była uprawiana przez nieliczne grono wybitnych badaczy, wysoko wyrastających ponad przeciętny poziom społeczeństwa, i niemożliwa do obrony w okresie, gdy stała się ona zajęciem niemal masowym, a wymagania intelektualne stawiane personelowi w większości prac zawodowych nieporównanie wzrosły). Wobec olbrzymiej różnorodności zadań, funkcji i misji badaczy oraz instytucji naukowych, idea odrębności zawodowej i zawodowego samorządu uczonych przestaje być jasna. Kwalifikacje żądane od badaczy są zbyt zróżnicowane i zbyt zróżnicowani są użytkownicy ich prac, aby można było wskazać na trwałe „jądro” zawodu i na jego podstawie budować nie tylko ich tożsamość, ale także jedną instytucję zawodową. Badania naukowe mają odmienny charakter od działalności przedstawicieli wolnych zawodów (np. adwokatów, księgowych, notariuszy), pracujących według skodyfikowanych procedur, dla których istnienie izb zawodowych jest konieczne w celu kontroli oraz gwarancji wartości udzielanych przez nich indywidualnie usług.

• **Komitet Badań Naukowych zorganizował środowisko naukowe na zasadach demokracji.**

Oświeceniowe „naturalne prawo jednostki” do udziału w sprawowaniu władzy za pośrednictwem przedstawicieli wybranych w powszechnym głosowaniu jest słuszną zasadą ustroju politycznego, ale budzi wątpliwości jako podstawa samoorganizacji nauki. Nie jedność natury ludzkiej, ale zróżnicowanie dorobku intelektualnego uznaje się na świecie za fundament „rzeczypospolitej uczonych”.

Dlaczego w okresie międzywojennym, gdy polskie środowisko naukowe było ok. 15-krotnie mniejsze, ówczesny samorząd nauki zaowocował bogactwem koncepcji i inicjatyw organizacyjnych, a w latach dwudziestych, gdy działała na szczeblu rządowym i ma do swojej dyspozycji 10-20-krotnie większe środki (mierzone w odsetkach znacznie większego dochodu narodowego) nie przejawia podobnej prężności? Dlaczego przed wojną sposób koordynacji badań w Polsce należał do najnowocześniejszych w świecie (komitety naukowe przedkładające środowisku oraz rządowi oceny potrzeb dyscyplin; Dział Nauki Kasy im. Mianowskiego, prowadzący monitoring organizacji oraz rozwoju badań w Polsce i na świecie; okresowe ankietyzacje środowiska itd.), a obecny razi swoją archaicznością nawet na tle innych państw postkomunistycznych, takich jak np. Węgry? Myślę, że dlatego, iż w latach międzywojennych samorząd był powszechnie akceptowaną formą kierowania nauką. Decydujący głos mieli w nim profesorowie uniwersyteccy, skupieni w pięciu głównych ośrodkach akademickich. Na ogół znali się oni wzajemnie i reprezentowali podobny typ kultury. Nauka nie miała takich jak dziś implikacji społecznych i gospodarczych. Wiedza o nauce i jej zarządzaniu była prostym uogólnieniem praktyki. Od tego czasu charakter, ilość oraz stopień komplikacji spraw związanych z zarządzaniem

nauką wielokrotnie wzrosły. Potrzebna do tego celu wiedza rozszerzyła się i oderwała od codziennej praktyki badawczej. Środowisko naukowe stało się liczne, anonimowe, zróżnicowane i rozproszone. Dawne formy zarządzania nauką przestały zdawać egzamin.

Przed wojną nauka była narzędziem budowy prestiżu kraju, który odzyskał niepodległość. U podstaw ówczesnej aktywności samorządowej uczonych leżała silna motywacja patriotyczna. Obecnie tego rodzaju motywacja jest znacznie słabsza. Polska ma ustalone miejsce w świecie, a koszty uczestnictwa w pierwszej lidze nauki wzrosły do tego stopnia, że polscy uczeni mają szansę przesuwać granice poznania tylko w zespołach i programach międzynarodowych. Źródłem prestiżu kraju, bardziej niż odkrycia naukowe, są dziś nowe wyroby przemysłowe, wykształceni mieszkańcy, dobre drogi i czyste dworce. Badań naukowych nie finansuje się dla prestiżu, tylko w celu podniesienia – materialnego i duchowego – dobrobytu kraju. Prestiż jest zawsze mile widzianym efektem ubocznym, ale nie stanowi celu. W krajach zachodnich nieraz cofa się dotacje budżetowe badaniom na światowym poziomie, jeśli tylko przekształcają się one w rodzaj „sztuki dla sztuki” i nie dostarczają dostatecznego wkładu innym dziedzinom (np. likwidacja radiobiologii w Wielkiej Brytanii w połowie lat osiemdziesiątych) lub gdy spada na nie zapotrzebowanie (np. ograniczenie badań nuklearnych w Wielkiej Brytanii w początkach lat dwudziestych).

Inaczej niż w latach międzywojennych, polskim uczonym brak dziś pewnej wspólnej nadrzędnej idei, przekraczającej zadania poszczególnych dyscyplin, poczucia misji, która nadawałaby głębszy sens ich codziennym pracom.

Wprowadzenie samorządu nauki było równoznaczne z przekreśleniem szansy tworzenia polityki naukowej. Polityka naukowa to takie oddziaływanie rządu (za pomocą instrumentów prawnych, finansowych, fiskalnych i informacyjnych) na system nauki i techniki, użytkowników badań oraz szeroki obszar „instytucji pomostowych” (np. centrów doskonałości, ośrodków transferu technologii, eksploratoriów), aby tworzyły one skuteczny system innowacji. Samorząd badaczy nie dopuszcza do dalej idącej ingerencji w instytucje naukowe, ponad aktywność przedkłada podejście responsywne oraz dba o to, aby możliwie największą część budżetu nauki przeznaczać na same tylko badania. W ten sposób niweczy szansę prowadzenia polityki naukowej. Polityka ta powstała przecież właśnie wtedy, gdy zmieniła się perspektywa patrzenia na naukę (z perspektywy samych uczonych na perspektywę społeczną) i gdy wobec nauki zastosowano instrumenty polityki rządowej, kiedy uznano, że państwo powinno wspierać naukę nie tylko dlatego, że jest ona dobrem cennym samym dla siebie, a uczeni powinni mieć środki, aby robić to, na co mają ochotę.

Jak podkreśla Chris Freeman (1992), wbrew potocznym opiniom, nauka sama z siebie wcale nie pobudza wzrostu gospodarczego ani też nie służy jakimkolwiek celom społecznym (takim jak ochrona środowiska) lub wojskowym. Ściśle biorąc, wyniki prac badawczych i rozwojowych to tylko strumień informacji: artykułów, raportów badawczych, książek, w najlepszym razie – prototypów lub wstępnych realizacji urządzeń. Byłoby to wystarczające, gdyby nauka była uprawiana jedynie dla niej samej. Wszelako dla wywarcia wpływu na gospodarkę, jakość życia lub stan obronności kraju, same tylko wyniki nie wystarczają. Co więcej, gdy mają one pozostać w stadium szkiców, prototypów lub modeli i nie przejść do praktyki, z punktu widzenia polityki naukowej są niemal całkowicie stracone.

Ustawa o KBN nałożyła na tę instytucję obowiązek prowadzenia polityki naukowej, ale nie dała służących do tego celu narzędzi. Podstawową przesłanką decyzji w KBN – od jego założenia po dzień dzisiejszy i od ministra po specjalistę – jest eliminacja finansowania wszystkiego, co nie mieści się w pojęciu badań naukowych. Szczątkowy fundusz DOT (działalności ogólnotechnicznej) bardziej niż inne składniki budżetu nauki padał ofiarą redukcji. Programy KBN dotyczące polityki naukowo-technicznej, innowacyjnej oraz priorytetów badawczych nawet wbrew intencjom Komitetu pełniły funkcję listka figowego zakrywającego brak prawdziwej polityki. Miały one głównie charakter deklaracyjny, nie spełniały żadnego międzynarodowego standardu strategii politycznej, nie zasługiwały na nazwy, jakie nosiły i najczęściej pozostały na papierze: nie były stosowane przez KBN (priorytety) lub nie wywołały odzewu wśród środowisk, do których były adresowane (według badań ankietowych firmy korzystały z wprowadzonych staraniem KBN zachęt na rzecz B+R oraz zakupów patentów, projektów i licencji „w ilościach śladowych”).

Zasada wyłącznego finansowania badań może obowiązywać w specjalnych agencjach resortowych, ale nie w samych ministerstwach nauki. Jest tak po prostu dlatego, że społeczny i gospodarczy wpływ badań zależy nie tylko od samych badań, ale także m.in. od dostępności różnych źródeł finansowania nowych firm technologicznych („kapitał zasiewny”, kapitał ryzyka), wsparcia biznesowego oraz technologicznego małych i średnich przedsiębiorstw, ochrony własności intelektualnej itd.

Znaczenie pozabadawczych przesłanek wpływu badań odkryto w latach siedemdziesiątych. Wpłynęły na to dwa fakty: odkrycie roli, jaką we wzroście gospodarczym oraz tworzeniu nowych miejsc pracy odgrywają małe i średnie przedsiębiorstwa oraz upadek liniowego modelu innowacji. Model liniowy, charakterystyczny dla wielkich rządowych programów badawczo-technologicznych (głównie wojskowych) oraz wielkich korporacji, zakładał organizację jednokierunkowego rozwoju: od badań podstawowych, poprzez stadia pośrednie (badania stosowane, prace rozwojowe, projekty, prototypy, uruchomienie produkcji) do produktu rynkowego oraz opierał się na zasadzie wiązania ze sobą poszczególnych uczestników procesów innowacyjnych, pełniących z góry określone funkcje i role. Jego miejsce zaczął zajmować model otwarty, rynkowy, w którym poszczególni uczestnicy procesu innowacji (centra transferu technologii, ministerstwa i agencje, laboratoria rządowe, uniwersytety, firmy doradcze, izby gospodarcze itd.) korzystają ze swoich usług w sposób dobrowolny oraz stale wzajemnie dostosowują się i uczą się od siebie. Polityka naukowa polega przede wszystkim na usuwaniu barier i „wąskich gardeł” w funkcjonowaniu tego otwartego systemu innowacji oraz na podejmowaniu w jego obrębie różnorodnych działań dostosowawczych. Jej efektem są np. ustawy dające wyższym uczelniom i zespołom badawczym prawa współwłasności patentów powstałych w wyniku badań finansowanych z funduszy publicznych, programy współpracy szkolnictwa wyższego i przemysłu, zmiany kryteriów oceny nauczycieli akademickich (użyteczność jako drugie podstawowe kryterium oceny badań obok ich wartości naukowej) czy też programy finansowania centrów technologii.

Twórcy KBN odrzucili możliwość oddziaływania na sferę pozabadawczą, traktując ją jako domenę działania rynku. Nie wzięli jednak przy tym pod uwagę zjawiska tzw. niedoskonałości rynku (*market failure*), który sam w sobie nie jest w stanie zapewnić optymalnego przebiegu procesów gospodarczych i społecznych, m.in. optymalnych z punktu widzenia interesu kraju powiązań gospodarki z badaniami naukowymi i technologicznymi

mi. Niedoskonałość rynku uzasadnia m.in. zaangażowanie rządów zachodnich w budowę infrastruktury innowacji i transferu technologii. Trudno zrozumieć, na jakiej podstawie rząd kraju postkomunistycznego, odbudowujący mechanizmy rynkowe po przeszło czterech dekadach gospodarki nakazowo-rozdziałowej, spodziewał się, że rynek wyręczy go w wykonaniu zadań, których nie jest w stanie wypełnić rynek najbardziej rozwiniętych państw świata.

Z powodu absencji resortu nauki wiele działań wchodzących w skład polityki naukowej (w szerokim znaczeniu, obejmujących też technologie i innowacje) zrealizowano korzystając ze wsparcia funduszy Ministerstwa Pracy (program TOR#10, oparty na pomocy technicznej Uniwersytetu Stanu Ohio) oraz zagranicznych funduszy pomocowych (USAID, PHARE, British Know-How Fund, rząd duński i in.) (Markowski, Stawasz, Matusiak 1998). Powstała więc w Polsce infrastruktura innowacji i transferu technologii, ale jest ona wątła i chwiejna, gdyż zależy od okresowych i zadaniowych funduszy, wsparto niektóre instytuty naukowe i firmy innowacyjne, ale działania naprawcze objęły stosunkowo mały obszar nauki i gospodarki. Wszystkie te przedsięwzięcia realizowano najczęściej poza wiedzą i zainteresowaniem KBN. Były one traktowane przez Komitet – zgodnie jego misją – nie jako naturalne i konieczne uzupełnienia działań na rzecz działalności badawczej, nie jako pas transmisyjny, łączący badania ze sferą praktyki, tylko jako zjawiska obce i zewnętrzne.

Gdy resort nauki odmawia zainteresowania dla sfery pozabadaawczej, nie tylko traci podstawę swojej społecznej legitymizacji, ale także ideę sensownego uporządkowania samych badań i instytucji badawczych. Polityka naukowa to podejmowanie decyzji o badaniach naukowych traktowanych nie jako cel sam w sobie, ale jako narzędzie zmiany, innowacji, wzrostu gospodarczego i poprawy życia. Gdy brak takiego podejścia, brakuje też punktu orientacyjnego dla racjonalnego urzędzenia spraw nawet wewnątrz samego systemu badań. Jako przykład przytoczmy zasady alokacji funduszy badawczych. Podział pieniędzy w KBN między dyscypliny naukowe dokonywany jest z roku na rok według tych samych reguł. Trzymanie się tych samych reguł zapobiega niekończącym się konfliktom i jest optymalne z punktu widzenia stabilności samorządowej władzy. Reguły podziału wprowadzone w początkach istnienia KBN stanowiły odbicie środowiskowego układu sił, będącego pochodną decyzji inwestycyjnych PRL, przede wszystkich tych podjętych na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych, gdy tworzone nowy system nauki. W ten sposób samorząd nauki w znacznej mierze utrwalił i zamroził skutki fundamentalnych decyzji władzy komunistycznej, impregnując system badań od oddziaływania świata zewnętrznego. Ale, co ciekawsze, nie stworzył przy tym systemu, który, choć zamknięty w sobie, byłby bardziej spójny od poprzedniego, gdyż oparty na zasadach premiowania wkładu pól badań do innych dyscyplin. Przeciwnie, badania – jak się zdaje – są dziś bardziej rozproszone niż były dawniej.

W krajach zachodnich narzędziem myślenia o polityce naukowej są pewne dość ściśle określone i rozbudowane struktury teoretyczne, takie jak np. „krajowy system innowacji”, „regionalne systemy innowacji”, „determinanty wzrostu gospodarczego”, „czynniki rozwoju społecznego”. Za pomocą dokładnie zdefiniowanych terminów, wskaźników i hipotez definiuje się problemy, które stają się osią prac nad formułowaniem strategii. Gdy brakuje takich obiektywnych, podlegających krytyce i ewolucji struktur teoretycznych, działaniami politycznymi rządu dowolność, subiektywizm i (jak mawiano w okresie PRL)

woluntaryzm. Brakuje wówczas układu odniesienia dla dyskusji o priorytetach politycznych, nie ma wspólnego języka, płaszczyzny porozumienia oraz możliwości obiektywizacji dialogu i negocjacji między rządem, środowiskiem naukowym a opinią publiczną.

Struktury teoretyczne kanalizują, porządkują i ukierunkowują dyskusję o celach i zadaniach politycznych, czynią ją przejrzystą oraz otwartą na kontrolę (logiczną i merytoryczną). Dają narzędzie wyobraźni politycznej, czyli zdolności do tworzenia modeli umożliwiających interpretację teraźniejszej oraz prognozowanie przyszłej sytuacji nauki i techniki. Są nieocenioną pomocą w tworzeniu i realizacji polityki. Aby jednak spełniły one swoje zadanie, muszą być znane przez dostatecznie dużą i wpływową grupę analityków, urzędników, polityków i dziennikarzy. Aby były znane, muszą zostać wcześniej upowszechnione przez ośrodki badań i nauczania polityki naukowo-technicznej i innowacji (*science policy studies*), obserwatoria statystyki i centra monitoringu rozwoju nauki i techniki, czasopisma. W Polsce te właśnie warunki nie są spełnione (lub są spełnione tylko częściowo). Konsekwencje są łatwe do przewidzenia: zamiast teoretycznych struktur, stosowanych szeroko w świecie nawet poza grupą państw OECD i ułatwiających porównania międzynarodowe, dyskusją o działaniu politycznym na rzecz nauki rządzą naderżane emocjami środowiskowe stereotypy. Dochodzą w nich do głosu grupowe interesy, przedstawiane jako dobro społeczne.

Interes środowiska naukowego i interes kraju wcale nie są tożsame, tak jak nie jest zapewne tożsamy interes jakiegokolwiek grupy zawodowej (np. rolników, górników, nauczycieli) i interes społeczny. Procesy globalizacji i integracji europejskiej oraz otwarcie polskiej gospodarki na międzynarodową konkurencję sprawiają, że coraz częściej pojawiają się korzystniejsze dla kraju opcje niż rozwój rodzimych badań i prac rozwojowych (zakup zagranicznych badań, licencji i *know-how*, transfer technologii poprzez tzw. bezpośrednie inwestycje zagraniczne itp.).

Podobne możliwości dostrzegane są w wielu krajach, również tych najbardziej rozwiniętych, jak np. Niemcy. Przed wieloma polami badań otwierają się nowe możliwości ekspansji, ale wiele innych traci rację bytu (w ogóle lub w dotychczasowej skali). Gdy owe szanse i zagrożenia nie są dostatecznie wcześniej rozpoznawane przez niezależną myśl ekspercką oraz przekładane na decyzje polityczne (wykorzystywanie szans, uprzedzanie zagrożeń) reakcjami środowiska rządzą frustracje. Zamiast spokojnego rozważania opcji, pojawiają się argumenty o „utracie suwerenności naukowej Polski” oraz „sprzedaży interesów narodowych” przez rząd, który nie inwestuje w badania naukowe na miarę oczekiwań autorów petycji protestacyjnych.

Jedną z głównych funkcji wspomnianych struktur teoretycznych jest kierowanie uwagą polityków nauki oraz samych naukowców na kwestie wpływu badań na gospodarkę i społeczeństwo. Główne pytanie, wokół którego toczy się dyskusja w krajach zachodnich, dotyczy obecnie nie tego, ile pieniędzy na naukę ma dać rząd, tylko jak organizować system nauki, aby społeczeństwo miało z niego jak największą korzyść oraz jak ów wpływ mierzyć i dokumentować. Pytanie to jest następnie konkretyzowane w miarę schodzenia na coraz niższe szczeble zarządzania: rad ds. badań, agencji technologicznych, uniwersytetów, instytutów. W efekcie dyrektor instytutu technologicznego potrafi zawsze odpowiedzieć np.: „We współpracy z policją opracowaliśmy tyle i tyle wdrożonych później nowych technologii bezpieczeństwa. Można ocenić, że miały one takie to a takie skutki”, „Nasze badania podstawowe miały następujący efekt w innych dyscyplinach” itd.

Dowodem na to, że system samorządu nauki zabrął w ślepią uliczkę, jest strategia lobbingu stosowana przez środowiska profesorskie.

## Strategia lobbingu polskiego środowiska naukowego

Jak dotąd nie przeprowadzono jeszcze badań socjologicznych i językoznawczych nad publicznymi wypowiedziami uczonych dotyczącymi stanu polskiej nauki, wyrażanymi w niezliczonych artykułach, listach, petycjach i oświadczeniach. Wydaje się, że warto zbadać, jak uczeni ujmują ten problem, jakie stosują schematy pojęciowe i interpretacyjne, na jakim poziomie abstrakcji prowadzą swoje rozważania, jakich opozycji pojęciowych używają, jakie pojęcia są w ich rozumowaniach nieobecne itd. Chciałbym tu podzielić się wstępnymi uwagami.

Konflikt wizji nauki samych uczonych oraz rządu definiowany jest w krajach zachodnich jako spór „nauki i społeczeństwa” (zakłada się bowiem, że rząd, wyłoniony przez wybrany w wyborach powszechnych parlament, realizuje interes społeczny). Natomiast w Polsce uczeni definiują swój konflikt jako spór między nauką (rozwijaną, ich zdaniem, w interesie społeczeństwa) a rządzącymi. W ten sposób w swych polemikach uczeni nawiązują do utrwalonego w PRL podziału na (izolowaną i reprezentującą obce interesy) władzę oraz społeczeństwo, starając się przedstawić swoje postulaty jako głos (otaczanych sympatią) rządzonych, natomiast decyzje rządowe jako rezultat działalności (nie lubianych) rządzących. Nie jest jednak pewne, czy gdyby społeczeństwo miało możliwość bezpośredniego decydowania o podziale budżetu, byłoby bardziej skłonne uwzględnić żądania uczonych. Nawiązując do podziału na „nas” i „ich” autorzy petycji odwołują się stale do symboliki i tradycji ruchu oporu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych (listy zbiorowe jako forma protestu, Komitet Obrony Nauki). Postępują w ten sposób zgodnie z obowiązującym dziś wzorem, który walkę o interes grupowy każe przedstawiać jako działanie dyktowane etosem.

Ważnym wątkiem przewijającym się w oświadczeniach uczonych jest (subtelne) deza-wuowanie stanowisk innych grup społecznych współzawodniczących o udział w budżecie. „Nauki nie można traktować na równi z innymi dziedzinami finansowanymi z budżetu, jak zdrowie i oświata – pada w prasie stwierdzenie profesora biologii. – Bo są one pochodnymi nauki”. Inne grupy zawodowe biją się o fundusze budżetowe w swoim wąskim partykularnym interesie, uczeni natomiast domagają się pieniędzy na badania „nie ze względu na samolubne pragnienie materialnego awansu”, tylko dla dobra ogółu.

Przedstawiane przez badaczy argumenty za zwiększeniem finansowania budżetowego nauki mają następującą konstrukcję:

*Postulat:* Wzrost nakładów na naukę do poziomu wysoko rozwiniętych państw zachodnich (tak aby GERD, czyli krajowe nakłady na B+R brutto, osiągnęły poziom 2-3% PKB).

*Uzasadnienie 1:* Niedofinansowanie już dziś powoduje ujemne skutki w obrębie systemu nauki (odpływ młodych pracowników, pauperyzację środowiska naukowego, starzenie się aparatury). W przyszłości skutki te będą nieodwracalne, a ponadto załamanie się systemu nauki pociągnie za sobą fatalne następstwa dla całego kraju (spadek eksportu i produkcji, wzrost bezrobocia itd.), podcinając perspektywę jego awansu cywilizacyjnego.

*Uzasadnienie 2:* Kraje rozwinięte przeznaczają na naukę 2-3% PKB. Jest to cywilizacyjny standard, który obowiązuje także Polskę, jednoczącą się z Europą.

*Uzasadnienie 3:* Badania ekonometryczne dowodzą, że inwestycje rządowe w B+R w wysokości  $n$  owocują – po okresie np. 5-7 lat – korzyściami gospodarczymi  $n+y$ .

W strukturze argumentu brak jednak elementu *p o d s t a y*, to znaczy ogólnej zasady, która tłumaczy, dlaczego uczeni sądzą, że podane przez nich uzasadnienia są adekwatne do postulatu.

Jeśli chodzi o pierwsze uzasadnienie, uczeni powinni przede wszystkim wskazać na teorię, która mówi, że radykalne zwiększenie nakładów budżetowych na naukę zarządzaną przez samych uczonych i uwięzioną w strukturach odziedziczonych po okresie komunistycznym zaowocuje awansem cywilizacyjnym Polski. Po drugie, powinni oni dowieść, że ujemne zjawiska w nauce wynikają wyłącznie ze zbyt niskiego poziomu finansowania budżetowego. Jednak nikt z badaczy stawiających żądania nie uzupełnił swego postulatu o te niezbędne elementy. Jest tak dlatego, że po prostu nie można ich dostarczyć. Co do pierwszej sprawy, w Polsce wydaje się na naukę mniej pieniędzy budżetowych niż w krajach wysoko rozwiniętych (w % PKB), ale gdy kraje te znajdowały się na obecnym poziomie Polski (pod względem dochodu narodowego *per capita*) wydawały mniej więcej tyle ile teraz Polska. Co do drugiej sprawy, ilekroć uczeni na poparcie swego postulatu przytaczają przykłady ujemnych zjawisk, tylekroć można udowodnić, że (w znacznej mierze) nie doszłoby do nich, gdyby w zarządzaniu polską nauką obowiązywała nie zasada autonomii, tylko efektywności (jak w nauce zachodniej od końca lat sześćdziesiątych).

Jeśli zaś chodzi o pozostałe uzasadnienia: nie ma normy cywilizacyjnej zobowiązującej kraj do przeznaczania 3% produktu krajowego brutto na naukę (bez względu na jego PKB, poziom technologiczny, strukturę gospodarczą oraz profil i organizację nauki). Nie ma bowiem dowodu, że zwiększenie nakładów budżetowych na naukę automatycznieścią za sobą wzrost gospodarczy.

Najczęściej cytowany w postulatach agregat GERD (krajowe nakłady na B+R brutto) ma pewną wartość jako wskaźnik poziomu rozwoju cywilizacyjnego państw zachodnich, w których prace B+R rozwijają się w organicznym powiązaniu z usługami naukowymi i technicznymi (kształcenie, szkolenia, testowanie, normalizacja itd.), innowacjami oraz infrastrukturą wspierania technologii (stowarzyszenia kapitału ryzyka, centra transferu technologii, rządowe programy upowszechniania technologii itd.). GERD nie ma jednak podobnej wartości informacyjnej w odniesieniu do państw słabiej rozwiniętych, w których powiązania między nauką, techniką i gospodarką są znacznie słabsze. Bez znajomości struktury tego agregatu (np. czy rozwijane badania i technologie odpowiadają istotnym obecnym potrzebom kraju, czy też odzwierciedlają priorytety nieistniejącego ustroju, jak w dużej mierze jest w dzisiejszej Polsce) oraz bez informacji o efektywności B+R oraz charakterze ich powiązań z otoczeniem nie sposób sensownie ocenić, czy GERD danego kraju jest „zbyt mały”, „zbyt duży” czy „w sam raz”.

Nie ma czegoś takiego jak „optymalne wielkości funduszy budżetowych na B+R”. Efekty B+R zależą od wielu niemożliwych do ścisłego określenia czynników. Polityki naukowej nie opiera się na matematycznych wzorach, tylko prowadzi na podstawie mieszanki wiedzy naukowej, statystyk, prognoz, oceny wcześniejszych działań, doświadczeń zdobywanych metodą prób i błędów, eksperymentowania oraz intuicji (Lipsej 1998).

Uczeni zaś chcieliby te tak różne źródła decyzji politycznych zastąpić jedną magiczną formułą.

Dla poparcia postulowanego wzrostu budżetu uczeni powołują się na statystyki, robią to jednak stronniczo: zestawiają ze sobą dane nieporównywalne (jak nakłady budżetowe w Polsce z ogólnymi nakładami w krajach najbardziej rozwiniętych), pomijają informacje, które zmieniłyby sens cytowanych przez nich statystyk, nie uwzględniają kontekstu (liczba wniosków patentowych rezydentów w Polsce zmniejsza się, ale spadek jest efektem globalizacji gospodarki i podobny trend da się zaobserwować w wielu innych krajach), z kilku możliwych opisów zjawiska sięgają po taki, który pasuje do tezy (miejsce Polski w rankingu liczby publikacji naukowych spada, ale – co jest ważniejsze – jej udział w światowej puli rośnie), przemilczają statystyki podważające twierdzenia o katastrofie polskiej nauki (wzrost zatrudnienia, wzrost nakładów na B+R liczony w cenach bieżących, wzrost ogólnej liczby udzielonych patentów itd.).

Przedstawiane przez środowisko naukowe argumenty za radykalnym wzrostem finansowania nauki nie są przekonujące. Gdyby sygnatariusze petycji spotkali podobnej wartości uzasadnienia we wnioskach grantowych, bez wahania odmówiliby dotacji. Dlaczego od propozycji badawczych, które rozpatrują, oczekują mocnych i wiarygodnych uzasadnień, a sami swoje żądania wspierają jedynie wątpliwą statystyką oraz ogólnikowymi, nieweryfikowalnymi tezami? Sądzę, że jest tak dlatego, iż celem petycji uczonych nie jest przekonywanie, tylko budzenie moralnego oburzenia. Strategia środowiska naukowego jest na krótką metę zręczna: uczeni zapędzili rząd do narożnika. To nie badacze mają tłumaczyć, dlaczego podatnik ma finansować proponowane przez nich badania, tylko rząd ma się kajać, dlaczego nie daje tyle, ile żądają. Ciężar dowodu leży więc nie na uczonych, tylko na rządzie. Na dłuższą metę jest to jednak strategia szkodliwa. Odpowiedzialność za wydatkowanie funduszy publicznych, obowiązek wytłumaczenia, jak zostały one wykorzystane i jakie dały wyniki są dziś fundamentem w stosunkach rządu ze środowiskiem naukowym. Zasady te dyscyplinują system nauki, orientują naukę na potrzeby społeczne i są podstawą do ubiegania się o środki budżetowe. Odrzucenie tych zasad zmniejsza – na dłuższą metę – szanse uczonych na zdobycie publicznego poparcia.

Aby uzyskać środki budżetowe, organizacje i grupy społeczne w Polsce afiszują się swoją klęską i biedą, a w krajach zachodnich – sukcesem i rezultatami. Polscy uczeni strategię lobbingu oparli na ideach „biedy”, „klęski” i „zapaści”. Idee te podchwycili dziennikarze, którzy prześcigają się w opisach „opłakanej kondycji” polskiej nauki.

Działania podejmowane przez uczonych na rzecz nauki kończą się nieraz nieuchronną porażką wskutek braku rozpoznania potrzeb i punktów widzenia adresatów.

Przedsiębiorcy, posłowie i ministrowie finansów – by zatrzymać się na trzech tak różnych grupach – mają zupełnie różne punkty widzenia niż badacze i – aby podjąć z nimi dialog – trzeba poznać ich perspektywę.

Naukowcy chcą od przedsiębiorców pieniędzy na bardzo ryzykowne projekty innowacyjne, ale przedsiębiorcy wolą się angażować w przedsięwzięcia bardzo mało ryzykowne. Gdy ryzyko jest zbyt wielkie, przedsiębiorcy odstępują od projektu. W przeciwieństwie do naukowców, ponoszą oni wielkie osobiste ryzyko: koszty wdrożenia innowacji są wysokie, margines błędu jest zwykle mały, a porażka oznacza nieraz wypadnięcie z rynku. Gdyby badacze zrozumieli perspektywę biznesmenów, dostrzegliby, że zamiast gorczy i oskarżeń powinni zaproponować politykom wprowadzenie takich instrumentów, które

doprowadziłyby do rozłożenia ryzyka inwestowania w innowacje i ich komponenty badawczo-rozwojowe.

Uczeni podejmują próby zainteresowania nauką Sejmu, ale gdy organizują sesję na temat nauki, sala sejmowa świeci pustkami, co tłumaczą jako (jeszcze jeden) dowód obojętności rządzących. Gdyby jednak starali się poznać punkt widzenia posłów i senatorów, wiedzieliby, że problemy nauki interesują ich przede wszystkim w aspekcie rozwoju ich własnych regionów. Zamiast okazywać swój żal, powinni przygotować dobre argumenty, świadczące o tym, że rozwój konkretnych badań i technologii (obok inwestycji zagranicznych i poprawy infrastruktury gospodarczej) mógłby wzmocnić wzrost gospodarczy danego regionu.

W ostatnich latach nie było tak mocnych oskarżeń, których uczeni nie rzuciliby na rząd, a zwłaszcza na ministrów finansów. Zarzut „mordowania nauki” nie należy wcale do najmocniejszych. Gdyby jednak znali oni reguły gry politycznej, wiedzieliby, że żaden rząd nie traktuje poważnie autonomicznej grupy zawodowej w roli petenta domagającego się pieniędzy budżetowych. Dzieje się tak nie dlatego, by miał jakieś ideologiczne uprzedzenia w stosunku do grup autonomicznych, tylko z tego względu, że obraca pieniędzmi podatnika i odpowiada przed parlamentem. Przekazywanie pieniędzy budżetowych grupie zawodowej, która dzieli je według swoich własnych zasad, przeczy po prostu regułom gry w demokracji. W pojęciu elity profesorskiej polityka naukowa to nieustanne pisanie groźnych petycji (zwłaszcza jesienią, w okresie kończenia prac nad projektem budżetu), a także zastępowanie oburzeniem moralnym dowodów oraz rachunku kosztów i zysków. Uczeni żądają pieniędzy na „naukę w ogóle”, „naukę jako taką”. Ale dla każdego, kto starannie porównuje ze sobą i waży wszystkie pozycje budżetu, najmniej przekonujące są nakłady na coś „jako takie”, „w ogóle”. Nawet długofalowe koszty i korzyści budowy autostrad można określić z pewnym prawdopodobieństwem. Przerazające koszty ograniczenia o połowę pomocy społecznej dla 4-5% ludności Polski pozostającej na granicy minimum egzystencji można z grubsza oszacować. Nauka „w ogóle”, „jako taka”, rządząca się w sposób autonomiczny, jest magmą. Można jej bronić tylko oburzeniem, za którym nie stoją rzeczowe argumenty.

## Opór przeciw zmianom

Samorządność nauki na szczeblu rządowym owocuje zatem w prowadzeniu lobbingu, który jest nieskuteczny i pozbawiony wiarygodności. Ale jej główną wadą jest to, że podtrzymuje ona *status quo* oraz nadaje systemowi nauki charakter dośrodkowy w sytuacji, gdy potrzeba radykalnych zmian – stworzenia efektywnego systemu nauki, ukierunkowanego na wspieranie pościgu cywilizacyjnego Polski, czyli systemu o silnych powiązaniach z otoczeniem gospodarczym i społecznym.

Nauka w Polsce jest biedna w oczach polskich uczonych, ale rozrzutna w oczach gości z zagranicy. W Polsce infrastruktura badawcza częściej niż za granicą służy samym tylko badaniom naukowym, a nie zarówno badaniom, jak i dydaktyce. W wielu nowych budynkach, oddanych w ostatnich latach, każdy badacz ma własny pokój, komputer z drukarką laserową i aparaturę; istnieją odrębne etaty dla obsługi kserokopiarki oraz dla kierowcy. Za granicą, nawet w tak znanych uniwersytetach, jak filadelfijski Drexel University, pomieszczenia dla badaczy mieszczą się nieraz w zaadaptowanych halach fabrycz-

nych; uczeni pracują w boksach; drukarką laserowa obsługuje kilka stanowisk; ze sprzętu (jeśli jest to możliwe) korzysta się wspólnie; każdy robi sobie sam odbitki kserograficzne; gdy to konieczne, każdy siada za kierownicą.

Nie są to jednak główne źródła marnotrawstwa. Wyższe uczelnie wydzielone z uniwersytetów w początkach PRL (medyczne, rolnicze, teologiczne) nadal działają osobno, dublując administrację i etaty badawcze. Z powodu braku sprawnego systemu informacji wiele badań dubluje się. Z powodu braku sprawnego systemu zarządzania badania są często nieskoordynowane i rozdrobnione. Komitet Badań Naukowych podejmuje zadania (jak finansowanie, dotowanie, ewaluacja, doradztwo na rzecz polityki naukowej, budowanie strategii), które powinny być od siebie oddzielone. Ministerstwo nauki, które stawia sobie tak sprzeczne cele, jak uchronienie potencjału nauki w trudnych czasach transformacji, pełnienie funkcji forum samorządu nauki, wprowadzenie ostrej konkurencji w dostępie do funduszy badawczych oraz likwidacja najłabszych placówek naukowych – osiąga pewne cele tylko kosztem innych.

Ujemne zjawiska w nauce, na które powołują się uczeni żądając wzrostu funduszy budżetowych, są w dużej mierze rezultatem złego zarządzania.

Wskazuje się np. na fakt starzenia się aparatury, który wielu zespołom badawczym nie pozwala uczestniczyć w przesuwaniu frontu wiedzy (mimo posiadanych kwalifikacji). Wzrost kosztów aparatury badawczej stanowi ważny problem każdej agencji finansowania badań. Dopóki jednak decyzje o dotacjach na aparaturę nie zostaną oparte na strategiach i prognozach, a proces decyzyjny – na wielu szczegółowych kryteriach, dopóki nie zostaną wprowadzone różnorodne formy jej wspólnego użytkowania (aż pięć w Wielkiej Brytanii), dopóki nie ustaną praktyki typu „prawo do klucza” – dopóty argument starzenia się aparatury nie może być zasadnie użyty.

Podobnie jest z argumentem starzenia się personelu naukowego. Średnia wieku badaczy podnosi się także w krajach zachodnich, od chwili gdy zatrudnienie w sferze nauki przeszło ze „stanu szybkiego wzrostu” do „stanu stałego” (tj. od końca lat sześćdziesiątych). Zjawisko to jest ponadto pochodną starzenia się społeczeństw, związanego ze spadkiem stopy urodzeń oraz przedłużeniem średniej długości życia.

Starzenie się personelu naukowego w Polsce wiąże się na ogół z odpływem ludzi młodych, spowodowanym niskim poziomem płac. Gdy pewna kategoria zawodowa masowo rezygnuje z pracy, najczęściej stawia się hipotezę, że problemem są zarobki. Dopiero wnikliwsze analizy pokazują, że zarobki są tylko jedną ze zmiennych. Często ważniejszą zmienną są szczeble kariery. Można sformułować hipotezę, że zarobki są ważnym, ale tylko jednym ze źródeł odpływu z nauki w Polsce. Innymi powodami są: długi okres oczekiwania na awans, konserwatyzm środowiskowy oraz zjawisko kumulowania większej części aktywów przez starszych pracowników naukowych (Dąbrowa-Szefler i in. 1998). Choć dane bibliometryczne świadczą, że udział polskich naukowców nie mających habilitacji w puli cytowań jest znaczny, nie znajduje to odzwierciedlenia w ich udziale w realnej i symbolicznej puli nagród (mierzonej np. zdobywaniem grantów badawczych, członkostwem w prestiżowych towarzystwach i komisjach rządowych, obecności w słownikach biograficznych itd.). Doktorzy habilitowani i profesorowie silniej identyfikują się ze swoją instytucją, a ich atutem jest łatwiejszy dostęp do funduszy. Młodszy pracownicy identyfikują się słabiej, a ich atutem jest młody wiek, większa elastyczność zainteresowań oraz łatwość otrzymania innych atrakcyjnych ofert.

Luka pokoleniowa narasta także jako konsekwencja autonomii nauki z jej brakiem mechanizmu selekcji dyscyplin. W dzisiejszych czasach nawet Stany Zjednoczone nie mogą sobie pozwolić na uprawianie wszystkich dyscyplin, tylko decydują się na konieczną selekcję. Selekcja, choć trudna, jest znacznie ważniejsza w kraju o wielkości i poziomie gospodarczym Polski. Dyscypliny, pola badań i tematy mają swoje cykle rozwoju: rodzą się, dojrzewają i wchodzą w okres schyłkowy. Ponadto nie są w równym stopniu potrzebne sobie nawzajem oraz – przede wszystkim – społeczeństwu i gospodarce. Czasami w interesie kraju leżą inwestycje na wielką skalę w pewną dyscyplinę, czasami – ograniczenie jej do monitoringu, pozwalającego na szybkie odtworzenie potencjału, gdy zajdzie taka potrzeba. Kiedy wspiera się dyscypliny rozwojowe i użyteczne, a ogranicza i likwiduje schyłkowe, gdy znajduje się środki, by pobudzać pola najbardziej żywotne i potrzebne – wówczas usprawnia się, uzdrowia i regeneruje system nauki. Fundusze nie rozchodzą się wtedy równomiernie po wszystkich polach, bez względu na ich znaczenie, użyteczność i wiek w cyklu rozwojowym, a luka pokoleniowa nie jest tak dotkliwa.

Pogląd, że tylko radykalne zwiększenie wydatków na naukę jest w stanie zapobiec grożącej Polsce zapaści cywilizacyjnej bierze się z przekonania o wyjątkowym znaczeniu badań naukowych jako źródła postępu. Jednak główną cechą dzisiejszej „gospodarki wiedzy” (zapuszczającej korzenie nawet nad Wisłą) jest zjawisko intelektualizacji wielu zawodów. Nie tylko od naukowców oczekuje się, by twórczo i samodzielnie rozwiązywali złożone problemy i nie tylko badacze są źródłem innowacji.

\*

Samorząd uczonych ze swej natury jest egalitarny, wzmacnia elementy wspólne różnych dyscyplin oraz orientację dośrodkową systemu nauki, czyli właśnie te cechy, które utrudniają oddziaływanie badań na społeczeństwo. W latach dziewięćdziesiątych powstał w Polsce introwertyczny system, nastawiony głównie na powiększanie zasobu wiedzy, ale pozbawiony zainteresowania dla kwestii społecznych i potrzeby innowacji. Jeśli jednak ignoruje się bodźce zewnętrzne, badania tracą siłę innowacyjną i krytyczną. Jest to nie tylko katastrofalne dla innowacji, ale podważa też prawomocność systemu nauki oraz wolę inwestowania weń przez społeczeństwo (*Knowledge...* 1995). System nauki – z jego rozdrobnieniem, przestarzałą strukturą dyscyplinową, brakiem wewnętrznej spójności (istnieją instytuty uprawiające dyscypliny, które nie mają przedłużenia w technologiach albo rozwijające technologie, które nie mają przedłużenia w przemyśle), niewłaściwą skalą zarówno całego systemu, jak i poszczególnych jego części, niskim poziomem współpracy między placówkami, naciskiem na badania oraz nastawieniem „do wewnątrz” – jest niedostosowany do realizacji głównych zadań polityki rządowej (pościgu cywilizacyjnego kraju i włączania go do struktur zachodnich) oraz nieefektywny.

System nauki w Polsce znajduje się w stanie swego rodzaju *interregnum*, gdyż już zawodzą mechanizmy władzy samorządowej, a jeszcze nie ukształtowały się mechanizmy władzy politycznej administracji rządowej. Decydujący wpływ na rozwój polskiej nauki miały zawsze dotąd elity naukowe – od chwili, gdy przed 250 laty stworzyły one pierwsze w Polsce środowisko naukowe z zapleczem organizacyjnym (czasopisma, biblioteki publiczne, towarzystwa, stałe zebrania itd.) aż po powołanie Komitetu Badań Naukowych. Ale

choć głos elit pozostanie ważny, nie są one w stanie dalej kierować nauką. Potwierdza to ponad ośmioletni eksperyment Komitetu Badań Naukowych. Skala budżetowego finansowania badań, liczba, charakter i złożoność decyzji oraz rola badań w rozwoju kraju sprawiają, że zarządzanie musi stać się domeną profesjonalnie przygotowanych polityków, urzędników i menedżerów. Nawet zajmowanie się sprawami etyki w nauce – choć powinno być firmowane przez uczonego o wielkim autorytecie naukowym i moralnym – jest zadaniem dla profesjonalisty, który zna obowiązujące w świecie prawa, przepisy i praktyki, śledzi literaturę przedmiotu, uczestniczy w dyskusjach OECD oraz wie, w jaki sposób zastosować w Polsce zagraniczne wzorce. W jeszcze większym stopniu dotyczy to innych kwestii, jakimi zajmują się dziś członkowie Komisji KBN (np. ewaluacji badań). Planowane reformy KBN są ważnym krokiem ku zarządzaniu rozwojem nauki i techniki zgodnym ze wzorcami państw OECD. Są one jednak przedsięwzięciem obliczonym nie na jedną, tylko na kilka kadencji ministerialnych, gdyż urząd KBN (tak jak większość ministerstw) nie ma profesjonalnych kadr na miarę potrzeb polityki naukowej zalecanej przez OECD. Kompetencje merytoryczne w dziedzinie polityki naukowej nie są w KBN szczególnie cenne, gdyż w obowiązującym schemacie działania nie są one potrzebne. Budowa nowoczesnej administracji Ministerstwa Nauki i agencji finansujących badania jest wspólnym zadaniem naukowców i urzędników. Powiedzie się ona, jeśli tylko przyszłe Ministerstwo Nauki stanie się „organizacją uczącą się” – na własnych błędach oraz dzięki monitoringowi wzorcowych działań podejmowanych w kraju i za granicą, analizom ekspertyz oraz statystyk, a także dialogowi ze środowiskiem naukowym.

## Literatura

- Dąbrowa-Szefler M., Gulczyńska H., Jabłecka J., Świerzbowska-Kowalik E.** 1998  
*Mobilność pracowników naukowych w Polsce*, Centrum Badań Polityki Naukowej i Szkolnictwa Wyższego Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa.
- Freeman Ch.**, 1992  
*Science and Economy at the National Level*, w: *The Economics of Hope. Essays on Technical Change, Economic Growth and the Environment*, Pinter Publishers London – New York.
- Knowledge...** 1995  
*Knowledge Enriches*, NWO Policy Document 1996-2000, Netherlands Organization for Scientific Research, The Hague.
- Lipsey R. G.**, 1998  
*Technology Policies in Neo-classical and Structuralist-evolutionary Models*, „STI Review”, nr 22.
- Markowski T., Stawasz E., Matusiak K. B.** 1998  
*Wybrane problemy polityki innowacyjnej w Polsce*, Fundacja Edukacji Ekonomicznej, Łódź (maszynopis).
- Rip A.** 1994  
*The Republic of Science in the 1990s*, „Higher Education”, nr 28.
- Ziman J.** 1994  
*Prometheus Bound. Science in a Dynamic Steady State*, Cambridge University Press, Cambridge.